ROCZNIKI POLSKIEGO TOWARZYSTWA MATEMATYCZNEGO
Seria II: WIADOMOŚCI MATEMATYCZNE X (1968)

Ministerstwo Nauki i Szkolnictwa Wyższego

E. MARCZEWSKI (Wrocław)

Przemówienie do Profesora Władysława Ślebodzińskiego na uroczystym posiedzeniu Polskiego Towarzystwa Matematycznego w Poznaniu, 6 kwietnia 1967 roku

Kochany Panie Profesorze,
Szanowni Państwo,

Wysłuchaliśmy dzisiaj życiorysu Profesora Ślebodzińskiego i referatu o Jego twórczości naukowej. Ale portret bohatera dzisiejszej uroczystości nie byłby kompletny, gdyby nie uzupełnić go wspomnieniami z rozmaitych czasów.

Narysowanie takiego portretu mogłoby wydać się łatwe; w istocie jest bardzo trudne.

Łatwe, bo przecież możemy mówić o Profesorze Ślebodzińskim z największą szczerością, bo nie tylko Go cenimy, ale lubimy i kochamy. Wrocławski publicysta napisał o Nim arcysłusznie, że „wśród kolegów i uczniów cieszy się wielkim autorytetem moralnym, jako człowiek dobry i mądry, pełen życzliwości i pogody".

A jednak to zadanie jest trudne, bo zasługi Profesora Ślebodzińskiego nie polegają na jednorazowych inicjatywach czy efektownych pomysłach, ale na stylu jego powszedniej pracy, na codziennej trosce o młodszych kolegów i uczniów, na atmosferze, czy — szerzej — klimacie, jaki wokół siebie stwarza. A to przecież niełatwo opisać.

Jedno trzeba powiedzieć od razu: żartobliwy sposób bycia Profesora Ślebodzińskiego sprawia, że myśli się o nim zawsze z uśmiechem, że powstają wokół niego anegdoty i żarty, do których jego uśmiech prowokuje.

Kiedyś, dwuletnia wrocławianka, zapytana, jakich zna profesorów, odpowiedziała, że dwóch: Profesora Ślebodzińskiego i Profesora Filutka. Co — wiem z pewnością — przynajmniej jednemu z nich sprawiło wiele uciechy.

Więc i w tej gawędzie przeplatać się będą fragmenty poważne i żartobliwe.

Przez wiele lat Profesor Ślebodziński nie miał warunków do pracy zespołowej i pracował przede wszystkim samotnie, jak to się mówi „w ciszy swego gabinetu". Ale wszędzie, gdzie się zaczynała zespołowa praca matematyków, stawał się gorliwym jej uczestnikiem. Hugo Steinhaus wspomina w swoich niedrukowanych notatkach o nieoficjalnym kółku matematycznym, jakie założył w Krakowie, w 1916 roku. Władysław Ślebodziński, też wtedy w Krakowie przebywający, brał oczywiście udział w tych posiedzeniach.

Przechodzę od wspomnień cudzych do własnych. W 1929 roku, będąc jeszcze studentem, uczestniczyłem w zjeździe Związku Kół Matematycznych, Fizycznych i Astronomicznych Polskiej Młodzieży Akademickiej, który odbywał się wczesną wiosną w Poznaniu. Władysław Ślebodziński był wtedy profesorem w Szkole Budowy Maszyn i Elektrotechniki, która z czasem — już po ostatniej wojnie — przekształciła się w Politechnikę Poznańską, a na Uniwersytecie wykładał matematykę dla przyrodników. I oto stwierdziliśmy ze zdziwieniem, że choć oficjalnie nie miał żadnych wykładów dla studentów matematyki, rząd dusz młodzieży matematycznej należał właśnie do Niego. Studenci matematyki Uniwersytetu Poznańskiego z własnej inicjatywy rozpoczynali w owych czasach studia od wykładów Profesora Ślebodzińskiego przeznaczonych nominalnie dla przyrodników, uważając, że one właśnie najlepiej ich wprowadzą w tajniki matematyki wyższej.

Również i na samym zjeździe studenckim, a raczej na jego części naukowej, rola Profesora Ślebodzińskiego była poważna. Przemawiał wielokrotnie w dyskusji po referatach naukowych, po to głównie, by studenckie audytorium poznańskie, które tak dobrze znał, mogło z nich odnieść największą korzyść.

W kilka lat później, w 1934 roku, Profesor Ślebodziński habilitował się na Uniwersytecie Warszawskim. Byłem wtedy asystentem i nie wiem, co się działo na Radzie Wydziału, ale mogę opowiedzieć, jak to było ... w kawiarni. Pamiętam moment, gdyśmy się o tej habilitacji dowiedzieli. U Kozłowskiego na Marszałkowskiej, gdzie w każdy piątek odbywał się nieoficjalny ciąg dalszy posiedzenia Towarzystwa Matematycznego, prezydujący tym kawiarnianym sesjom dziekan Mazurkiewicz rzekł tajemniczo: będziemy mieli nową habilitację na Wydziale ... Długo nie mogliśmy zgadnąć o kogo chodzi (bo spośród matematyków warszawskich nikt się wtedy do habilitacji nie przygotowywał), aż wreszcie zniecierpliwiony Broniław Knaster rzekł: no powiedz już, powiedz, jak się ten Ślebodziński nazywa ...

Ale związek Profesora Ślebodzińskiego z Warszawą był w tych latach luźny i nie widywałem Go ani wtedy, ani podczas wojny. Nie wiedziałem o pobycie Jego w Oświęcimiu, ani tym bardziej, że tam jeszcze zapowiedział towarzyszom obozowym, iż po wojnie będzie wykładał we Wrocławiu.

Zobaczyłem Go właśnie we Wrocławiu latem 1945 roku. Przyjechał, by rozpocząć realizację tego zamysłu. Odjechał po kilku dniach, a niebawem powrócił, by już do dzisiaj we Wrocławiu pozostać.

Los sprawił, że byłem pierwszym chronologicznie matematykiem polskim, jaki znalazł się wtedy we Wrocławiu. Ale ów czas, lato 1945 roku, był trudny i gorzki. Trzeba było zacisnąć zęby i czekać, aż powstanie zespół ludzi oddanych matematyce. Z największą radością powitałem Profesora Ślebodzińskiego jako towarzysza pracy; w dniu jego przybycia poczułem, że sytuacja się zmienia, że zaczyna powstawać matematyka wrocławska. W niedługim czasie przybyli inni matematycy: Stanisław Hartman, Hugo Steinhaus, Bronisław Knaster, a za nimi młodsi.

20 października 1945 roku odbyło się pierwsze zebranie Oddziału Wrocławskiego Polskiego Towarzystwa Matematycznego, które było pierwszym po wojnie posiedzeniem naukowym we Wrocławiu. Uczestników było czterech, a referaty — dwa. Właśnie Profesor Ślebodziński wygłosił pierwszy z nich: *O geometrii tkanin*. Był to więc pierwszy w ogóle referat naukowy w polskim Wrocławiu. W zorganizowanym wówczas Oddziale Towarzystwa był kolejno członkiem kom tetu organizacyjnego, wiceprezesem i prezesem.

Na utworzonym wtedy Wydziale Matematyki, Fizyki i Chemii, który był faktycznie wydziałem wspólnym Uniwersytetu i Politechniki, Profesor Ślebodziński objął jedną z czterech katedr matematyki. Obsługiwały one zarówno studentów matematyki (których zresztą w pierwszym powojennym roku akademickim prawie nie było), jak i studentów wszystkich wydziałów politechnicznych. Jak przedtem w Poznaniu, tak teraz we Wrocławiu, zdobył sobie wielki autorytet naukowy i moralny, a jego wykłady kursowe i monograficzne cieszyły się wielkim powodzeniem.

Gdy z czasem związek Uniwersytetu z Politechniką rozluźnił się i w 1951 roku powstawała osobna zespołowa katedra matematyki na Politechnice, Profesor Ślebodziński zdecydował się objąć jej kierownictwo. Dla każdego matematyka ideałem jest wykładać na uniwersytecie — przyszłym matematykom, ale dla Profesora Ślebodzińskiego decyzja nie była trudna, bo — jak zawsze, tak i w tym momencie — nie kierował się własnymi gustami i własnym interesem, ale dobrem ogólnym. Uważał, że takie właśnie rozwiązanie będzie z ogólnych względów najwłaściwsze.

Jako kierownik katedry był troskliwym opiekunem wielkiego zespołu młodych współpracowników, których w tej katedrze zgromadził, a którzy poświęcali się rozmaitym działom matematyki. Opiekował się wszystkimi, dbając i o rozwijanie ich prac i o formalny tok ich doktoratów i habilitacji na Uniwersytecie. Znaczną część pracowników katedry zainteresował geometrią różniczkową. Stworzył poważny zespół łączący także pracowników Instytutu Matematycznego, PAN i Uniwersytetu Wrocławskiego, poświęcony tej dyscyplinie, a zwłaszcza nowoczesnym jej metodom.

To właśnie zawsze podziwialiśmy wszyscy: młodzieńczy duch, który Go ożywiał i który sprawiał, że był zawsze matematykiem bardziej nowoczesnym niż wielu znacznie od niego młodszych. Czego przykładem może być Jego wstęp do „Zewnętrznych form różniczkowych", dziełka, które jest owocem zbiorowej pracy Jego współpracowników.

Inny przejaw młodości ducha Profesora Ślebodzińskiego — to Jego werwa polemiczna, która przejawia się wtedy zwłaszcza, gdy oburzy Go czyjaś blaga czy tandeta.

I jeszcze inny: nerw turystyczny, widoczny podczas wielkich wypraw pieszych i częstych mniejszych przechadzek. Połączony z umiłowaniem przyrody: zarówno wysokich gór, które często z towarzyszami przemierzał, jak i małego ogródka na Biskupinie, który systematycznie uprawia, przywdziewając w tym celu szorty.

Kiedyś, wakacyjne grono, które przyjęło żartobliwie poetyczną nazwę Klubu Kwitnącego Wrzosu, postanowiło w swym regulaminie, że prezesem Klubu może zostać tylko osoba, nosząca stale szorty. Oczywiście dlatego, że ten warunek spełniał wyłącznie Profesor Ślebodziński.

Chciałbym jeszcze wrócić do żartów i anegdot Profesora Ślebodzińskiego. Muszę mianowicie wyznać, że zamierzałem powtórzyć tu niektóre i że zamiaru tego nie zrealizuję. Bo ... nie są do powtórzenia. Zwykle dlatego, że wyłącznie sytuacyjne, ale czasem i z innych powodów.

Kończę już. A kończąc, chciałbym złożyć życzenia naszemu Kochanemu... (trochę mi brak śmiałości, ale chyba się odważę) Ślebciowi czyli Dziadziowi — bo tak się we Wrocławiu mówi. Życzę więc by nigdy nie opuszczał Pana uśmiech: i ten którym Pan nas darzy, i ten z którym myślimy zawsze o Panu.

Muszę też przeprosić Pana za to, com tu naopowiadał, gdym niezdarnymi słowy próbował wyrazić co czuję. I na zakończenie ostatnia taka próba. Jeden z uczniów Pańskich wyznał mi niedawno, że za dominującą cechę Pana uznaje conradowską wierność samemu sobie: wierność swoim własnym zasadom. To przekonanie, Kochany Panie Profesorze, podzielamy wszyscy.